

Gdy zamykają się drzwi gabinetu, rozpoczyna się dialog dusz

– Choroba zazwyczaj jest znakiem, że coś w życiu źle robimy. Jeśli tego nie zmienimy, bioenergoterapia będzie tylko łagodzeniem skutków. Przywrócenie właściwej energetyki ciała to jedno, ale pacjent sam powinien włożyć pewną pracę. Dla pani też mam pewne sugestie – słyszę.

Siedzę w gabinecie Ewy Wolskiej, terapeutki zajmującej się medycyną energetyczną. W samym centrum dużego miasta, w czasie największego popołudniowego szczytu. Ale te korki i tłumy przewalające się tuż za oknem jakby przestały istnieć, zostały w innym świecie. Tutaj otula mnie ciepłe światło świec, kojący szmer płynącej wody (to z płyty z muzyką relaksacyjną) i spokojny głos terapeutki, która dzieli się ze mną tym, co podczas zabiegu powiedziało jej moje ciało. Ja nie, bo w czasie gdy ona wykonywała na moim biopolu energetyczny masaż, moja świadomość gdzieś odpłynęła. Dopiero teraz, okryta kocym i zrelaksowana jak po świetnie przespanej nocy, pomału wracam do rzeczywistości. Aż trudno uwierzyć, że zaledwie godzinę temu wpadłam tutaj spóźniona i wściekła, zdenerwowana poranną awanturą w pracy i przytłoczona stresem wykańczającym mnie od miesiąca. Ból brzucha, z którym przysłam, również gdzieś zniknął. Niewiarygodne, jak półgodzinny masaż energetyczny może odrodzić człowieka.

– Tutaj zdrowieje się już od samego przekroczenia progu. Tu jest zupełnie inna energetyka, dobre wibracje wyczuwa się od razu po wejściu – powiedziała mi wcześniej w poczekalni jedna z pacjentek, która bywa tu regularnie. Kiedyś Ewa wyciągnęła ją w wielkiego kłopotu zdrowotnego; teraz przychodzi tu od czasu do czasu, by zrobić, jak to określa, „energetyczne porządki”. – Dzięki Ewie już od dawna jestem zdrowa, ale życie się toczy i wciąż jesteśmy narażeni na rozmaite negatywne wpływy i emocje. Warto więc raz na jakiś czas przyjść i oczyścić swoje biopole, opłukać się w dobrej energii i naładować akumulatory – mówiła.

Ale dla mnie to jeszcze nie koniec sesji. Dopiero teraz Ewa Wolska odbywa z pacjentem rozmowę, bo sam zabieg medycyny energetycznej trwa w ciszy. Teraz możemy porozmawiać o moim problemie, a poza tym musi mnie uprzedzić o ewentualnych objawach, które mogą pojawić się później; przesilenie w organizmie może trwać dwa, trzy dni, reakcje w ciele i duszy można odczuwać jeszcze kilka dni po zabiegu.

Dialog dusz

Nie jest to mój pierwszy kontakt z energoterapią. W przeszłości zdarzało mi się odwiedzać bioenergoterapeutów, z potrzeby zdrowotnej lub z ciekawości. Ale nie spotkałam dotąd gabinetu, w którym wizyta trwałaby półtorej godziny, a terapeuta był przez ten czas skoncentrowany w stu procentach wyłącznie na mnie. Bez śladu pośpiechu, choć poczekalnia zwykle jest tu pełna. Dokładnie tak, jak opowiadała mi koleżanka, która mnie tu przysłała, po tym, jak Ewa w ciągu dziewięciu sesji zlikwidowała jej mięśniaki macicy i obeszło się bez planowanej operacji.

Jest tak, ponieważ dla Ewy Wolskiej bioenergoterapia to najpierw pasja i życiowa droga, a dopiero później zawód. Pomaganie ludziom interesowało ją od zawsze. Już w piaskownicy godziła pokłócone dzieci, była rozjemcą we wszystkich podwórkowych konfliktach. Nie znosiła, by ktokolwiek w jej otoczeniu kłócił się lub cierpiał. Jej zdolności do pomagania pierwsze wyczuły zwierzęta, które do niej lgnęły. Później także dorośli stwierdzali, że dobrze się czują w jej towarzystwie. Ale droga do bioenergoterapii prowadziła nie wprost; wcześniej Wolska zetknęła się z medycyną klasyczną i to od razu z trudnymi, dramatycznymi sytuacjami. Pracowała w służbie zdrowia, gdzie na co dzień miała do czynienia z lekarzami i sanitariuszami jeżdżącymi do wypadków, zajmującymi się ludźmi w poważnym stanie. To tam, podczas obserwowania wielu sytuacji, w których nie można już było człowiekowi pomóc, dojrzała w niej ostatecznie decyzja o zajęciu się uzdrawianiem.

Decyzja poniekąd oczywista, bowiem medycyna niekonwencjonalna „chodziła” za nią przez całe życie. Ciekawość pchała ją do zgłębiania rozmaitych jej aspektów: ziołolecznictwa, akupresury, akupunktury, hipnozy, litoterapii. Zdobyła tytuł mistrzyni reiki i dyplom Polskiego Stowarzyszenia Psychologów i Terapeutów. W efekcie dziś pracuje własną metodą autorską, z pogranicza bioenergoterapii, medycyny energetycznej i psychoterapii.

Jest bardzo skuteczna w pracy energetycznej na odległość; czasem to konieczność, np. w przypadku pacjentów mieszkających za granicą. Ale jej żywioł to kontakt osobisty z pacjentem w gabinecie. Tutaj stworzyła sobie przestrzeń, w której ma niezbędną do pracy ciszę.

– Cisza jest zbawienna. W ciszy lepiej słyszymy siebie, swoją duszę – mówi Ewa. – A także sygnały, jakie wysyła ciało drugiego człowieka. W ciszy gabinetu, gdy pacjent kładzie się do zabiegu i zamyka oczy, z jego pola energetycznego przychodzą do mnie informacje – to, o czym powinnam wiedzieć, by skutecznie pomóc. Gdy wykonuję masaż na biopolu pacjenta, wyczuwam subtelne zmiany i zaburzenia energii, skanuję ciało od głowy do stóp. Później, po zabiegu, mówię pacjentowi, jaka jest moja diagnoza energetyczna, co zwróciło moją uwagę w jego ciele i duszy. Tak, również duszy, bo w moim rozumieniu bioenergoterapia jest swoistą rozmową na jeszcze innym poziomie niż fizyczny. Gdy zamykają się drzwi gabinetu, rozpoczyna się dialog dusz. To, co dany człowiek do mnie mówi, to jedno, ale to, co do mnie przychodzi z innego poziomu energetycznego, to jeszcze co innego. Oprócz tego, co usłyszałam od samego pacjenta, jego organizm mówi jeszcze coś. Czasem coś innego niż pacjent. Bo albo nie chciał powiedzieć, albo sam nie wiedział. Ale rozmowa jest ważna, bo głos zawiera emocje i niesie dużo informacji. Potrafię wiele wyczytać między wierszami z tego, co ktoś opowiada. Dlatego po zabiegu zawsze rozmawiam z każdą osobą, mówię, na co jej organizm zwrócił mi uwagę. I co możemy jeszcze zrobić – zastosować zioła, akupunkturę, esencje energetyczne, terapię oddechem itp. Chodzi o to, by jak najskuteczniej pomóc.

Dotrzeć do źródła problemu

Pacjenci Ewy nie zawsze przychodzą do niej z problemami zdrowotnymi. Często są to kłopoty psychiczne i emocjonalne, zwykle dotyczące trudnych relacji rodzinnych, partnerskich lub zawodowych. Wtedy zabieg zamienia się w swoistą psychoterapię. Ale nawet przy pracy nad zdrowiem „efektem ubocznym” są zmiany w relacjach z ludźmi.

– W gabinecie pracuje się z całym jestestwem duszy, na każdym poziomie. W konsekwencji poprawiają się nie tylko sprawy ciała, ale też relacje. Jeżeli dana osoba zdrowieje, to osoby z jej otoczenia postrzegają te zmiany, jakie w niej zachodzą. Mogą ich nie rozumieć, ale je wyczuwają, choćby podświadomie. Skutkuje to tym, że związki z ważnymi ludźmi się poprawiają, ale rozluźniają się te z toksycznymi osobami – mówi Ewa.

Zdarza się, że rozpoznaje problem reinkarnacyjny, tkwiący korzeniami w którymś z poprzednich wcieleń. Wówczas sugeruje pacjentom wizytę u terapeuty, który stosuje bardziej specjalistyczne metody, np. hipnozę czy esencje energetyczne. – Uważam, że moją rolą jest praca na rzecz tego konkretnego ciała, w tym życiu – mówi. – Oddziaływanie energetoterapeutyczne ma kierować uzdrawiającą energię w określone rejony tego, a nie innego ciała, harmonizować pracę tych, a nie innych czakramów. Dlatego nie zajmuję się poprzednimi wcieleniami; pracuję z człowiekiem tu i teraz.

Co innego okres życia płodowego. Na ten okres Ewa Wolska zwraca baczną uwagę, bo wiele problemów zdrowotnych i psychicznych ma swoje początki właśnie tam. Kiedyś pomogła człowiekowi właśnie dlatego, że zwróciła na to uwagę. Jako pierwsza, bo pacjent przeszedł już wiele terapii, a problem wciąż był nierozwiązany. Mężczyzna panicznie bał się otwartej wody. Nie wiadomo dlaczego; nigdy się nie topił, nie miał żadnych przykrych doświadczeń nawet na basenie. Ale od dzieciństwa drętwiał na sam widok większej rzeki czy jeziora, o morzu nie wspominając. Długo rozmawiał o tym z Ewą, a w nocy po wizycie w

gabinecie miał sen: topił się ze swoją mamą, w jej brzuchu, jako jeszcze nienarodzone dziecko. Nazajutrz zapytał o to matkę. Okazało się, że istotnie była taka sytuacja. Będąc w ciąży miała wypadek: wpadła do głębokiej wody i ledwie ją uratowano. Nigdy mu o tym nie mówiła. – Gdy się o tym dowiedział i zrozumiał ten lęk, mogliśmy już pracować z konkretnymi przyczynami strachu i bardzo prędko pozbył się tej fobii – wspomina Ewa.

Odpoczynek w miejscu mocy

Ewa Wolska przyjmuje w dwóch gabinetach. W Sosnowcu, skąd pochodzi i gdzie odwiedzam ją w jej „Klinice Duszy i Ciała”, oraz w Warszawie. Przyjmuje też za granicą, głównie wśród Polonii w Irlandii i Szwajcarii. Dużo podróżuje, spędza sporo czasu w pociągach i samolotach. Jak radzi sobie ze zmęczeniem, jak w tym zabieganiu potrafi utrzymać w sobie tę wrażliwość i skupienie, potrzebne w gabinecie?

– Mam swoje miejsca mocy, gdzie uciekam, by się wyciszyć i naładować akumulatory. Najważniejszy jest dla mnie Tyniec pod Krakowem, klasztor benedyktynów. To pradawne i bardzo silne miejsce mocy; ma szczególną energię, wskazuje, że może być i taka droga uzdrowienia – przez ciszę, medytację, modlitwę. Tam wypoczywam i tam proszę o to, żeby w intensywnej pracy w gabinetach nie zagubić siebie po drodze. Mam tam też „swojego mnicha”; dzwonię do niego, gdy potrzebuję duchowego wsparcia. Mam też swoich mistrzów, których nigdy nie spotkałam i którzy już nie żyją, ale są moimi autorytetami przez swoją pracę i książki, jak Elisabeth Kübler-Ross, amerykańska lekarka szwajcarskiego pochodzenia, autorka przełomowej książki „Rozmowy o śmierci i umieraniu”, ksiądz profesor Włodzimierz Sedlak, twórca polskiej szkoły bioelektroniki, który wspominał o możliwości istnienia bioplazmy jako piątego stanu materii czy Emma Kunz, szwajcarska jasnowidząca uzdrowicielka. Kilkadziesiąt lat temu Emma odkryła w Szwajcarii, w Würenlos, grotę skalną, również silne miejsce mocy, gdzie uzdrawiająca wibracja płynie z prehistorycznej skały. Tam również regeneruję swoje siły i medytuję. Jeśli moją ścieżką jest pomaganie ludziom, to nie mogę zarzucić własnego rozwoju. Dużo czytam, głównie pozycje z ezoteryki, psychologii i religii. W ciszy sama siebie lepiej słyszę. Chodzi o to, żeby terapeuta sam siebie rozumiał, bo tylko wtedy może lepiej pomagać ludziom.

Zrosnięta kość i zregenerowana wątroba

Gdy do gabinetu wchodzi kolejny pacjent, ja spędzam jeszcze trochę czasu w poczekalni. Chcę porozmawiać z ludźmi. Mama 9-letniego chłopca opowiada mi, że sesje u Ewy pomogły zwalczyć u jej syna stres szkolny i brak apetytu. Zna też inną mamę, której maluch po kilku zabiegach energetycznych pozbył się bezsenności i moczenia nocnego. Inna kobieta pokazuje mi stopę po złamaniu. Dziś pierwszy raz przyszła na zabieg sama; wcześniej Ewa chodziła do niej na wizyty domowe, bo pani Jola nie mogła stanąć na nogę. Złamanie źle się goiło; kość nie chciała się zrastać, a szwy się ślimaczyły. Po kilku zabiegach proces zrastania przyspieszył, rany się zagoiły, a przy okazji zniknęła depresja i bezsenność.

Kilka historii usłyszałam też od samej Ewy Wolskiej, z jej warszawskiego gabinetu. Jednym z najbardziej nietypowych przypadków był mężczyzna, który w pracy wszedł w kontakt z silną trucizną, która uszkodziła mu wątrobę. – Gdy do mnie przyszedł, był pomarańczowy – wspomina Ewa. – Czekał na przeszczep wątroby. Nie było dla niego leczenia, monitorowano jedynie jego parametry krwi, moczu i próby wątrobowe. Z wizyty na wizytę te wyniki się poprawiały. Ostatecznie przeszczep okazał się niepotrzebny. Organizm nie tylko poradził sobie z toksyną, ale i zregenerował wątrobę.

No i historie, które Ewę cieszą szczególnie – narodzenie dzieci, których matkom lekarze powiedzieli, że nigdy nie zjadą w ciążę. – Mam kilka przypadków, gdzie ludzie stanowczo twierdzą, że to ja zrobiłam im dziecko – śmieje się terapeutka. – Tam, gdzie diagnozowana jest bezpłodność, często wystarczy tylko zharmonizować polaryzację partnerów. Niezgodność polaryzacji to bardzo częsta przyczyna trudności z zajściem w ciążę, wystarczy ją odwrócić u jednego z partnerów i szybko dochodzi do zapłodnienia.

Ewa Wolska jest przekonana, że wszystko, co dzieje się podczas i po zabiegu, dzieje się na poziomie planu boskiego i duchowego. Ale światopogląd religijny osoby przychodzącej do gabinetu nie ma dla niej znaczenia. – Wielu moich pacjentów wysłałam do Tyńca, nie z powodów religijnych, ale żeby się wyciszyli. Cisza leczy. Nieważne, w co kto wierzy. Chodzi o to, żeby się wyciszyć i wejrzeć w siebie, posłuchać swojej duszy – mówi.

Ewa Dereń